

## ZIEMIAŃSKIE BIOGRAFIE

*Teresa z Fudakowskich-Rostworowska*

### UROZMAIACENIA DZIECINNego ŻYCIA (2)

Do Krasnobrodu jechało się przez Krasnystaw, leżący nad Wieprzem, na szosie Chełm-Zamość. Jadąc więc do Uhra z mamusią zatrzymałyśmy się w Krasnymstawie u prababci, gdyż ona tam miała swoją kamienicę przy farze. Przenocowawszy jechaliśmy dalej. Co mnie uderzyło i do dziś mam kolorowo w oczach – widok pocztyliona, zupełnie jak z jakiegos starego sztychu, siedzącego wysoko na koźle jakiejś przedpotopowej starej karety; ubrany był w szary płaszcz, mający od kołnierza wysoko zapiętego dwie krótkie peleryny, a przez ramię zawieszoną na sznurze trąbkę typową i coraz to trąbił jakąś krótką melodię na znak, że poczta jedzie. Przy szosie co 40 wiorst był budynek „Poczta” ze stajniami, w któ-

rych stały konie potrzebne na zmianę lub też do wynajęcia prywatnie. Wtedy się mówiło, że ktoś przyjechał ekstra pocztą.

Krasnobród należał wówczas do p. Chmyzowskiego, wdowca, ożenionego z najstarszą siostrą mojej matki, który nabył ten majątek do spółki ze swoim zięciem, mężem córki z pierwszego małżeństwa, p. Jackowskim – od Tarnowskich. Tam zabawiłyśmy z mamusią i p. Idą parę tygodni i wróciłyśmy do Holak.

Jednym z urozmaiceń dzieciennego życia było zjawienie się Węgra. Węgier był to wędrowny kramarz. Tacy Węgrzy byli w większości Słowakami, zjednoczonymi w organizację z centralą w Warszawie, gdzie mieli składnicę towaru. Na czele organizacji stał inżynier

Słowak. Ci wędrowni handlarze dostawali jakiś procent od sprzedanego towaru. Byli między nimi skromniejsi, którzy na plecach nieśli tobół z towarem, a inni, którzy się już dorobili, jeździli jednokonnym wózkiem i mieli po kilka łubów. Jak Węgier się zjawiał, wiadomość o nim błyskawicznie się roznosiła, zbiegaliśmy się wszyscy wraz z całą służbą. W kredensie Węgier stawiał na podłodze łuby, otwierał je i kolejno zawartość pokazywał. Przedmioty ułożone były warstwami, przedzielonymi grubym papierem, na którym ułożone były kolejno: mydło, przedmioty toaletowe, tanie perfumy, przybory do pisania, chustki do nosa, ścierki, czasem fartuszki gotowe, nieraz tanie zabaweczki dziecięce, dalej barwne chustki na głowę, nawet grube szale wełniane. Taki Węgier, który konikiem jeździł, miał dużo więcej rzeczy i coraz droższe, jak błyskotki tombakowe, kolczyki, broszki. Wszystkie te cuda Węgier pokazywał, a potem zachwycona publiczność kupowała. Ta przyjemność trwała czasem parę godzin, Węgier dostawał obiad i żegnając się obiecywał, że za rok wróci. I rzeczywiście rok potem, gdy drogi po zimie podeschły, ponownie się zjawiał.

W tym czasie, o ile pamiętam, zdarzyły się dwa zjawiska kosmiczne, które jako małym dzieciom nam pokazywano. Kiedyś wieczorem, jak byliśmy z moją siostrą już w łózkach, ktoś mnie z niego zabrał i zaniósł do ciemnego salonu, postawił na fortepianie na wprost okna i pokazał świecącą nad drzewami kometę.

Innym razem zapowiedziane było zaćmienie słońca już przy jego wschodzie. Starszym dzieciom, tj. Broniowi, Juli i mnie, wolno było wstać przed piątą i wszyscy wyszli za folwark, gdzie były sterty słomy. Kto mógł to się na stertę wdrapał, by lepiej widzieć. Pamiętam, że prosta baba z piekarni i dziewczęta wołały, żeby garnki od mleka i tzw. hładysze chować w słomę, bo ziemia się zacznie kręcić i one się potłuką.

Panna Ida zaczęła na zdrowiu zapadać, więc mama wzięła nauczycielkę do muzyki, by zacząć z nami regularne lekcje. Była to stara panna Borejsza, wysoka, chuda, musiała mieć nieprzyjemny charakter. Pamiętam, że przy lekcji muzyki, gdy fałszywy klawisz uderzyłam, to mnie ciągnęła za warkocz, na spacer zaś, a było już zimno i nawet lód na stawie, to omotywała sobie głowę wełnianą czarną chustką, a na buciuki naciągała kamasze piaskowego koloru. Dość cudacznie wyglądała, toteż chłopaki wiejskie biegły za nami, wołając: *mertwa smert, mertwa smert, dierewien-nyja nogi* (martwa śmierć, martwa śmierć, drewniane nogi). Panna Borejsza wkrótce wyjechała od nas.

Meier, który jeszcze do wiosny kończył z Broniem przygotowanie do niemieckiego gimnazjum, uczył nas łyżwowania, trzymając mnie za czub baszłyka, tj. kaptura o ostrym, sterczącym w górę dziobie. Bardzo lubiliśmy tę zabawę.

Zbliżała się Wielkanoc 1883 roku, kiedy to przypadało rozpoczęcie roku szkolnego w niemieckich gimnazjach, a więc wyjazd Bronia do Wrocławia, gdzie nasz ojciec zdecydował, że Bronio będzie się uczyć aż do matury. Nadszedł dzień wyjazdu pierworodnego syna z domu i to tak daleko. Bardzo żywo stoi mi w pamięci ta chwila. Mamusia z ojcem zgromadziła nas troje starszych w sypialnym pokoju rodziców, gdzie klękliśmy, odmawiając przed obrazem matki Boskiej Częstochowskiej „Pod Twoją Obronę” i „Kto się w opiekę”, potem Bronio uklęknął przed rodzicami i prosił o błogosławieństwo. Miał lat 10, wyjeżdżał daleko, do obcego kraju, obcych ludzi, obcego języka. Oboje rodzice i Meier jechali z nim, rodzice, by go umieścić na stacji u pp. Jarochowskich (on był profesorem gimnazjum), a Meier by wprowadzić swego ucznia do niemieckiej szkoły. Państwo Jarochowscy tworzyli bardzo polski dom, pilnujący polskiej mowy i dobrych obyczajów. Mieszkali u nich rozmaici chłopcy Polacy, przeważnie z Kaliskiego. Do domu Bronio jeździł na Ukrainę tylko na wielkie wakacje, które w programie niemieckim trwały 6 tygodni w sierpniu. Już następnego roku Bronio odbył tę podróż sam, więc mając 11 lat, a przecież spod Kijowa jechało się dwie doby, trzecią klasą oczywiście i to przez rosyjską granicę, na której robiono nieraz szykany.

Mamusi towarzyszyła nieraz ojcu w corocznym wyjeździe do wód, których potrzebował dla odpoczynku po bardzo intensywnej pracy w administracji cukrowni i prowadzeniu innych interesów. Ale sama zaczęła nie domagać, co wymagało jej wyjazdów na okres jesieni i deszczów. Wtedy tęskniliśmy za nią i z moim bratem Loniem o dwa lata młodszym ode mnie, śpiewaliśmy: „Oj żal, żal za nimi, za oczkami mamusiny” – trawestując znaną piosenkę. Wtedy też gniewało nas to, że pani Kamilla, lektorka dziadunia, rozporządzała się, każąc sobie przynosić na podwieczorek konfitury, a myśmy dostawali chleb czarny z powidłami. Szeptaliśmy sobie z Loniem „Jak kota nie ma, myszy tańczą”. Na Boże Narodzenie mamusia wracała. Pamiętam, że którejś jesieni z moją siostrą Julą nie bardzo dobrze przygotowywałyśmy lekcje, nie chciało nam się uczyć i mimo napomnień pani Haliny i mamusi, że na gwiazdkę nic nie dostaniemy. Nie było poprawy, bo myślałyśmy,

że to tylko groźby. Przyszedł wieczór wigilijny, potem dzwonek wzywający do choinki. Idziemy wszyscy, już widać jarzące się drzewko, podchodzimy – mamusia zaczyna rozdawać zabawki młodszym dzieciom, podarunki nauczycielce, niańce, bonie, służbie – my stoimy z bijącym sercem, szukamy oczami, a dla nas nie było nic. Do dziś pamiętam to ściśnięcie serca i wstyd. Mamusia nas objęła, przytuliła i powiedziała nam: „Widzicie, przez kilka tygodni upominałyśmy was, a wy myślałyście, że ciągle będziecie leniuszkami, a my o zapowiedzi zapomniamy. Ale widzicie, kto nie chce się poprawić, musi ponieść karę”. Pamiętam, żeśmy nie płakały, ale nauka nie poszła w las.

W 1885 roku mamusia znów była w poważnym stanie. Tym razem ojciec nasz wynajął w Kijowie kilka pokoi w Grand Hotelu i przejechaliśmy tam na parę tygodni. Tam, blisko pomocy lekarskiej, urodziła się śliczna dziewczynka. Chrzest odbył się bardzo prędko, a jako ojciec chrzestny przyjechał nasz dziadek, ojciec mamusi, z najmłodszą córką, kilkunastoletnią Marysieńką. Chrzest odbył się w pokoju, bo była zima. Pamiętam tylko ogromną tacę z ciastkami, a na imię dziewczynce dano Jadwiga.

Myśmy miały trochę lekcji, ale poza tym bawiłyśmy się doskonale, bo córki właściciela hotelu, panny Lancia, Włoszki, dorosłe panny, pozwalały nam biegać wszędzie i bawiły się z nami w chowanego, od strychu do pralni w suterrenach, a na owe czasy był to największy hotel w Kijowie.

Panna Ida, ciężko chora, leżała w szpitalu, odwiedzałyśmy ją i nosiliśmy jej kwiaty. Jak się później dowiedziałyśmy, miała gruźlicę płuc (wtedy nazywano to suchoty) i umarła. Śmierć jej przed nami ukrywano. Jak to wówczas nie miano pojęcia o mikrobach, że dopuszczano dzieci do chorej, umierającej na gruźlicę. Jak mamusia wyzdrowiała, tj. po paru tygodniach jak wówczas zaczęła składać wizyty, biorąc ze sobą ciocię Marysieńkę, a ponieważ to był karnawał, więc i na bale chodziła. Pamiętam doskonale jedną mamusi toaletę: była z atlasu koloru lila, pokryta falbanami z czarnej koronki, przy dużym dekolcie bez w paru odcieniach lila. Suknie miały wtedy szerokie, długie spódnice, staniczki cienkie w pasie, takie jak nosiła cesarzowa Eugenia. W Kijowie pierwszą modystką była Francuzka, Mme Dutelle, a duży sklep *avec des objets de luxe* prowadziła też Francuzka, Mme Barbasse. Jedną z nich miała córeczkę czy wnuczkę pięcioletnią, śliczną dziewczynkę blondyneczkę, która nieraz przychodziła do nas się bawić, a po urodzeniu

siostrzyczki przyszła ją zobaczyć w kołysce i zawołała: *o la jolie bleurette*. I dłuższy czas nazywaliśmy naszą małą Bleurette.

Kolonia polska była od lat liczna, a już na karnawał, który zwykle łączył się z kontraktami, zjeżdżały z rodzicami zamożne panny, bo panowie byli wówczas zajęci interesami, i rozpoczynało się cały szereg przyjęć i bali. O ile pamiętam, były domy Jaroszyńskich, Podhorskich, Lipkowskich, była też ciocia Rakowska z trzema pannami, które były zawsze bardzo otoczony młodzieżą męską. W marcu wróciliśmy do Holak. Wówczas to nasz ojciec kupił Krasnobród od spółki Chmyzowski-Jackowski. Życie w Holakach szło znowu swoim trybem, tylko Bronio przyjechał na letnie wakacje. Mamusia zaangażowała starszą pannę Milkuszyca z bardzo dobrą francuszczyzną. Przyjechali do nas stryjostwo z Rososzy i było nas czternaścioro dzieci, ustąpiłyśmy naszych łóżek, same śpiąc na ziemi i było bardzo wesoło. Pamiętam, że wtedy mamusia, chcąc we mnie od małego wyrabiać poczucie estetyki, a widziała, że bardzo się kwiatami interesuję, poleciła mi ułożyć kwiaty w dużej ćmielowskiej majolice. Nasypałam ziemi i powtykałam kwiaty, co miało wyglądać jakiejś kupy zwartej bez zieloności. Mamusia zobaczywszy to dzieło, powiedziała: „Moje dziecko, to nie jest ładnie ułożone”. I wyjąwszy wszystkie kwiaty pokazywała mi jak robić by bukiet był lekki i harmonijny. Bo nasza najdroższa mamusia nie chwaliła wszystkich naszych wyczynów, czy ołówkiem czy igłą, wymagając, by każda rzecz była jak najlepiej zrobiona i wszystkie błędy pokazywała, chcąc wyrabiać w nas krytycyzm, byśmy nie myślały, że wszystko, co robimy, jest ładne. W jesieni 1886 roku przybyła do nas nauczycielka p. Halina Bukowiecka i rozpoczęły się regularne lekcje, ja miałam lat 7, Julia 8.

Panna Halina wychowana była w Hotel Lambert, więc dawała nam lekcje francuskiego; nawet geografii ogólnej, uczyła nas po francusku i według programu francuskiego uczyłyśmy się mitologii greckiej. Mnie ona interesowała, może się to teraz wydawać niepotrzebnym obciążeniem pamięci, a jednak uważam, że miało to dobre strony, poznawało się bowiem jednocześnie dzieje i architekturę klasycznej Grecji, której wpływy od wieków pozostają w literaturze i sztuce. Zapewne obecnie programy nowoczesne, tak przeciążone, nie mają miejsca na takie wiadomości, ponadto młodzież teraz musi śledzić i nadążać za tempem odkryć i wynalazków oraz za metodami ich stosowania w życiu.

### Nasz przypadkowy pobyt w Warszawie

Mamusia musiała spędzić zimę w Meranie, bo upoczywa chrypka wymagała łagodniejszego klimatu. Na lato wróciła do Holak, lecz już jesienią wyjechała do Mentony, biorąc do towarzystwa swoją najmłodszą siostrę, dwudziestoparoletnią ciotkę Marysienkę. Ogromnie tęskniła za nami, tak więc ojciec zdecydował, że moja starsza siostra i ja pojedziemy z p. Haliną do mamusi do Mentony. Bawiliśmy wtedy w Rososzy u stryjostwa Bronisławów, gdzie zawsze bardzo lubiliśmy czas spędzać, gdyż tam było dużo dzieci. Lecz wobec decyzji tatusia przejechalśmy końmi do Turbowa, gdzie była cukrownia, której administrację zaczął obejmować nasz ojciec. Pamiętam wyraźnie jesienny deszczowy dzień i wieczór, gdy zajechałyśmy przed duży dom, który stał na skraju dębowego lasu i wycie wilków towarzyszące naszemu zasypianiu. Nazajutrz końmi 40 wiorst dojechałyśmy do stacji Kalinówka między Winnicą a Koziatynem, by wsiąść do pociągu jadącego do Warszawy. Cieszyłyśmy się na zobaczenie mamusi i na „zagranicę”. Tymczasem przysły wiadomości o ogromnych wylewach w północnych Włoszech i przerwanej komunikacji, więc mój ojciec, bojąc się wysłać nas w niepewną drogę, postanowił, że przeczekamy te wydarzenia w Warszawie. Umówił się ze stryjenką Hermanową Fudakowską (bratową naszego ojca, wdową po profesorze Szkoły Głównej), że zamieszkamy z p. Haliną u niej. Z wielkim żalem i płaczem przyjęłyśmy tę decyzję. Stryjenka była bardzo dobrą osobą, ale zewnątrznie chłodną. Miała duże mieszkanie na Chmielnej 31, ale przy niej mieszkał jej ojciec, stary p. Biernacki i siostrzenica ciotki, panna Maria Mielecka, która później wyszła za Heinzla, bogatego przemysłowca z Łodzi. Dla nas wynajęła stryjenka dwa umeblowane pokoje na trzecim piętrze, miałyśmy przychodzącą służącą, starą Turkowską, ale schodziłyśmy na jedzenie do stryjenki. Wówczas nie było w Warszawie filtrów i pamiętam, że woda stojąca w karafce na stole do obiadu miała kolor zupełnie mętny. Kanalizacji również nie było, może w niektórych domach w okolicy Placu Teatralnego, który był wówczas centrum miasta. Stryjenka miała ukochanego psa mopsa, rasy dziś niewidzanej. Nazywał się Lordzik. Stryjenka polecała nam czasem wziąć Lordzika na spacer. Bardzo tego nie lubiliśmy, bo na smyczy trzeba go było trzymać, a on przystawał co chwila albo wyrwał za mijanym innym psem. Pamiętam jak raz odwrócił się tak nagle, że mnie że sobą obwinał naokoło latarni

ulicznej. Byłam na niego zła, bo się wstydziłam przechodniów, którzy się śmiali. Wówczas ulice Warszawy oświetlały tylko gazowe latarnie, stojące na brzegu chodnika, a gdy się zmierzch się zbliżał, biegł człowiek z długim kijem, na końcu którego tlił się jakiś ogieniek, i kolejno każdą latarnię zaświecał.

Miałyśmy lekcje z p. Haliną, spacer, a również lekcje gimnastyki w znanym wówczas zakładzie Ostrowskiego w Al. Jerozolimskich.

Nie miałyśmy żadnych znajomości prócz domu wujostwa Ksawerostwa Zbyszewskich (on cioteczny brat naszego ojca, żona jego z domu Taube). Chodziłyśmy tam czasem na popołudnie w niedzielę, p. Halina zostawiała nas, sama zaś miała wolne do wieczora. Tam było 4 synów, z których najstarszy był studentem uniwersytetu, młodszy w gimnazjum, a zawsze w niedzielę było kilku ich kolegów. Pamiętam jednej niedzieli urządzili doświadczenia z butelką leydyjską, potem starsi chłopcy zabawiali się w hipnotyczne seanse, co robiło na mnie ogromne wrażenie, bo miałam 10 lat. Raz uśpionemu chłopcu powiedziałem, że jest psem białym, pudlem i ten w śnie zaczął chodzić na 4 łapach i szczeekać. Nudziłyśmy się nieraz okropnie. Ja sobie z papieru wycinałam lalki i z pudełka kartonowego zrobiłam pokój dla tych lalek. Julia raz odrabiając lekcje rysowała piórem na białym kloszu lampy naftowej rozmaite typy z ulic i podwórzy warszawskich, więc piaskarza, który wozził wózkami piasek wiślany, wołając „piach, biały piach” albo „piachu białego, piachu wiślanego”, w podwórzach rozlegało się do południa: szparagi, szparagi, szparagi, rzodkiewki, rzodkiewki, rzodkiewki, kości kupować, kości – blacharz jestem, blacharz – garnki drutować. Dziś, jak to piszę, to zdaję sobie sprawę jak to odległe już oblicze Warszawy. Widząc to, ojciec nasz kochany bardzo Julę pochwalił i zachęcał do rysowania, potem zawsze kładł nacisk na lekcje rysunku i zachęcał do trwania w zamiłowaniu, mówiąc, że to bardzo przyjemnia życie i daje oderwanie od powszedniości.

Pamiętam, że kiedyś w niedzielę, nudząc się okropnie, stałam w oknie salonu stryjenki, nie mogłam dojrzeć przechodniów, bo Chmielna wąska, ale zauważyłam zupełnie naprzeciwno, w dużym oknie chłopczyka, blondyna w mundurze gimnazjalnym, który też mnie zauważył i uśmiechnęliśmy się do siebie. Od tej chwili w nudną niedzielę stawałam w oknie, wypatrując go, nie zawsze się ukazywał. Raz ręką przesłał mi całusa, co mnie pąsem oblało, więc tym

bardziej mi się podobał. Aż wreszcie ogromnymi literami, jak tylko umiałam, napisałam na stronnicy zeszytu, że mi się podoba i jak się nazywa i przycisnęłam to pisanie do szyby, myśląc, że poprzez szerokość ulicy przeczyta. On też mi jakiś papier przez szybę pokazał, ale oczywiście nie dojrzałam pisania. Potem już go nie widziałam, choć czatowałam. I na tym się dziecinna idylla skończyła.

Brałyśmy lekcje fortepianu u jakiejś pani, nazwiska nie pamiętam, która mieszkała na Chmielnej, tylko po drugiej stronie Marszałkowskiej. Jaki wówczas był mały ruch na ulicy, skoro puszczano nas same bez odprowadzania, co prawda odległość nie była duża, bo kilka kamienic trzeba było minąć. Kamienica, w której mieszkała nauczycielka, stała mniej więcej naprzeciw dworca wiedeńskiego, od niego oddzielały ją glinianki niezabudowanych terenów, a od rogu Marszałkowskiej i Al. Jerozolimskich, tam gdzie dużo, dużo później był Lardelli, a dalej hotel Polonia – ciągnęły się ogrody braci Hoser. Nieraz z moim ojcem, który był wielkim amatorem kwiatów i bylin, chodziłam po tych inspektach cieplarnianych.

Na spacer pieszy chodziliśmy z p. Haliną do Ogrodu Saskiego, który był bardzo piękny i dobrze utrzymany, o starych alejach z pięknymi drzewami i zupełnie nie zażydzoney, gdyż za carskich czasów nie wolno było chałciarzom wchodzić do niego i przy bramach stali stójkowi, którzy tego zakazu pilnowali. W tymże ogrodzie był osobny oszklony budynek, tzw. Palmarnia i przy nim podłużna kryta galeria. To była pijalnia wód leczniczych. Tam, jak u wód, panie i panowie pili rano wskazane im przez lekarza wody i spacerowali przepisowo w pięknych alejach Saskiego Ogrodu.

Nadchodziła wiosna 1887 roku. Coraz bardziej tęskniłyśmy za wsią, jej zielenią i polami. Dusiliśmy się w tym kurzu i zapachach ulicy. Spacer w Aleje, które były mało zabudowane, wydawał się nieosiągalną odległością!! Stryjenka obiecała nam spacer konny po Łazienkach. Co za niecierpliwe wyczekiwanie. Nadszedł ów dzień, zajęchało lando wynajęte. Wsiadła stryjenka, p. Halina, panna Mielecka i ja, a Julia jako starsza ode mnie uprosiła, by siąść przy furmanie i ruszyliśmy w Aleje, potem do Łazienek. Wówczas część parku Łazienkowskiego odgradzona była od pałacu Belwederskiego sztaketami i pilnowana przez żandarmów, bo to była letnia rezydencja gubernatora. Również część parku od tzw. Nowej Pomarańczarni do końca była prawie niedostępna dla Polaków, ale radość nasza z godzinnego oddychania świeżym po-

wietrzem była wielka. Aleje Ujazdowskie miały zupełnie inny wygląd niż już nawet w 90. latach ubiegłego stulecia. Od ul. Pięknej po lewej stronie ciągnęło się pustkowie, nie było w głębi szpitala, tylko niewielkie ruiny zamku książąt mazowieckich; ani parku ujazdowskiego, ani ogródków Raua, tylko przy jezdni ciągnęła się aleja już dość starych kasztanów. W okresie Wielkiejnocy odbywały się na tym pustkowie zabawy ludowe, więc huśtawki, karuzele, cyrk pod namiotem, strzelnica, wdrapywanie się na śliski słup, na którego wierzchu umieszczano jakiś fant, nieraz do zegarka włącznie. Oczywiście przygrywała orkiestra strażacka na przemian z katarynkami. Nam się oczy otwierały na te dziwy, nieznanne na głębokiej wsi ukraińskiej.

Wzdychaliśmy do powrotu naszej mamusi, tymczasem w gazetach pojawiły się wiadomości o trzęsieniu ziemi na Riwierze. Od mamusi przyszły szczegóły; o piątej z rana odczuto pierwszy wstrząs. Mamusia mieszkała z cicią Marysieńką w dużym hotelu. Popłoch zerwał ludzi z łóżek. Wszyscy wybiegali do ogrodu hotelowego w bieliźnie. Ciocia Marysieńka, pamiętając, że ma pod opieką naszą mamę, nie straciła przytomności, tylko sama narzuciwszy szlafrok przede wszystkim pomagała naszej mamusi się ubrać, zabrała poduszkę, kołdrę i pledy, i wyprowadziła mamusię. A w chwili, kiedy przekraczały próg hotelu, zatrzęsło się mocno i za nimi runęła z brzegu dachu marmurowa balustrada, tak, że o sekundę uniknęły śmierci. Mamusia podniosła kawałek tego marmuru na pamiątkę, tatuś napisał na nim datę i był to przycisk do papieru. Mamusia przywoziła kilka dużych fotografii zrujnowanych willi, z nich można było zdać sobie sprawę z rozmiarów trzęsienia ziemi. Podobno wtedy koło San Remo zapadło się całe miasteczko z kościołem i mieszkańcami. Oczywiście my sobie nie zdawałyśmy sprawy z niebezpieczeństwa grożącego mamusi, ale nasz ojciec zażądał telegraficznie, by mama zaraz wracała.

W okresie naszego pobytu w Warszawie chodziliśmy na lekcje religii, których udzielał ksiądz Gniazdowski w mieszkaniu pp. Suligowskich, właścicieli tej kamienicy, w której mieszkaliśmy. Zajmowali duże mieszkanie na I piętrze. Do kompletu tych dzieci należeli Karol i Zosia Suligowscy, dzieci w naszym wieku. Przygotowaliśmy się do pierwszej spowiedzi, która odbyła się w kościele na Koszykach, który był jeszcze niewykończony. Z wielką emocją klękłam przy konfesjonale i przyznałam się, że kradłam cukier

w kostkach z cukiernicy, żeby go służącej dawać. Nie pamiętam, jaką naukę wówczas usłyszałam. Tego Karola i Zosię Suligowskich spotkałam dużo, dużo później w moim życiu, Karola jako żonatego, a Zosię zamężną za Ignacym Wilskim. Przyszła wreszcie wiadomość, że mamusia wraca wkrótce. Nie miałyśmy letnich sukienek, a to był ciepły koniec kwietnia, więc stryjenka kupiła letni materiał, który nazywano zefirem, ale w ohydną czerwoną kratkę na bławatkowym tle, bardzo się nam nie podobał, ale cóż! Trzeba było włożyć. W dodatku, ponieważ zaczynała się moda *tiurniur*, więc szwaczka zrobiła nam z podszewki jakieś półksiężycy, wypchane sianem, które się przywiązywało w pasie, by spódnica z tyłu sterczała (okropne).

### Pożegnanie z Holakami

Wreszcie uściskałyśmy naszą mamusię i po paru dniach wyjechaliśmy z Warszawy. Na całe życie pozostał mi w pamięci zapach pól i lasów, które mijaliśmy pociągami. Droga przed nami była długa, gdyż wówczas nie było ekspresów i bezpośrednich linii kolejowych, a z Warszawy do naszej stacji Fastów jechało się 30 godzin z przesiadaniem w Koziatynie. Wprawdzie te węzłowe stacje na kolejach rosyjskich były bardzo wygodnie budowane, o dużych poczekalniach i dobrych restauracjach z dobrą obsługą, ale mimo to dojechałyśmy zmęczone do Holak, gdzie z radością powrotu do domu usnęłyśmy na wypchanych pachnącym sianem siennikach (materacy nam nie dawano).

Po paru tygodniach starsze osoby zaprojektowały wycieczkę do Zofijówki koło Humania. Pozwolono jechać trzem starszym dziewczynom, tj. Julii, mojej siostrze i Zosi, córce stryja Zygmunta. Mnie zdecydowano pozostawić z Julcią, tzw. Białą. Wiem, że bardzo opłakałam tę decyzję, gdyż nie lubiłam Julci i zawsze się kłóciłyśmy. Droga do Zofijówki szła przez Rososze, więc Anulę dołączono do wyprawy. Zofijówka była miejscowością, którą założyła jako rezydencję ze wspinałym parkiem słynna Greczynka, żona Szczęsnego Potockiego, i kazała sadzić wspinała drzewa, budować groty, sztuczne sadzawki, wodospady. Coś w rodzaju Nieborowa Radziwiłłów, Dukli Lubomirskich i Puław Czartoryskich. Oczywiście, wtedy to już było przez rząd rosyjski skonfiskowane, ale można było zwiedzać i jakiś Rosjanin analfabeta oprowadzał i „tłumaczył”. Pamiętam jak cytowano, że wskazując na posąg Apollona, mówił *Wot*

*Apollo, katoryj wojowad z Polakami* – ku uciesze zwiedzających Polaków.

Całe lato minęło przeplatane lekcjami, używaniem wsi. Na Boże Narodzenie przyjechali stryjostwo Bronisławowie i pamiętam spacerunki, tzw. szalaszki. Zaprzęgano parę koni do największych sanń mieszczących co najmniej sześć osób, potem doczepiano coraz mniejsze sanki, aż do dwuosobowych. Do pierwszych sanń siadały starsze osoby, a siedzenie było tak przestawione że one siedziały tyłem do koni, mając widok na sznur sani przyczepionych. Furman wjeżdżał spokojnie na dobrze ujeżdżony gościnię, a gościnię na Ukrainie były szerokie, i wtedy jechał zygzakiem, tak by ostatnie sanie się ciągle przewracały i osoby i dzieci na nich siedzące wpadły w śnieg. Furman stawał, sanie się prostowało i jazda dalej. Śmiechu było zawsze co niemiara, oczywiście urządzano te zabawy, gdy śnieg był duży, tak że nikt się potłuc nie mógł.

Ku wiosnie zaczęłyśmy miarkować, że jakieś ważne rozmowy starsze osoby między sobą mają i coraz to dolatywały nas słowa wyjazd, pakowanie... Wreszcie powiedziano nam, że wyjeżdżać będziemy z Holak do Turbowa. Jak później zrozumiłyśmy, właściciele cukrowni w Dziadowoszczyźnie postanowili ją zlikwidować, gdyż była postawiona w złym miejscu. Było tam za mało wody, za mało plantatorów, gdyż w najbliższej okolicy nie było większych majątków, tylko małe chłopskie plantacje. Przy tym kończyła się dla naszego ojca dzierżawa Holak, a urządzenia fabryczne, dość prymitywne, nie nadawały się do zmodernizowania. Pakietem, gdy nas oprowadzono po cukrowni, widok ludzi półnagich, którzy w ogromnych drewnianych kadziach deptali bosymi nogami wygotowaną sieczkę buraczaną, by z niej wygniatać sok brązowego koloru. Po kilku latach już wszędzie w cukrowniach wprowadzono tłucznie mechaniczne i centryfugi.

Nasz ojciec zawczasu objął administrację fabryki w Turbowie, odległym o 150 wiorst od Holak, już na pograniczu Podola, nad rzeką Desną, dopływu Bohu. Zaczęło się pakowanie wszystkiego, a inwentarz żywy miał być przepędzony później. Ładowano wszystko na furmanki i wozy. Mój ojciec organizował, a pan Jan pilnował wykonania. Pamiętam, że wyjazd wyznaczony był na pewien dzień o piątej rano. Nadszedł ten dzień, szczęśliwie słoneczny i suchy, furmanki wyszły wilią, a dla nas zajechała karetka, powóz i bryczka, również dwa wozy z pościelą i żywnością, bo trzeba było w pół drogi nocować w zajeździe. Mam w oczach

bardzo wzruszoną Mamusię, my dzieci podniecone, a o sobie pamiętam, że drżałam, by nie zapomnieć ukochanej lalki (miałam tylko jedną w życiu większą, która przetrwała do roku 1895), i posadziłam ją na złamanym krześle pośrodku pokoju, przez który wszyscy musieli przechodzić, by być pewna, że w Holakach nie zostanie.

Jechaliśmy z przystankami gdzieś w lesie, żeby nogi rozprostować, aż przed wieczorem dojechaliśmy do powiatowego miasteczka Skwira. To było w pół drogi do Dziunkowa, to jest miejscowości, w której mieszkała siostra tatusia, ciocia Felinia Krackiewiczowa, wdowa z sześcioma synami i dwoma córkami. Tam, u cioci mieliśmy przeczekać parę tygodni, póki rzeczy, to jest meble i personel służbowy nie dojadą do Turbowa i wszystko będzie rozpakowane i urządzone z inwentarzem włącznie. Więc dojechaliśmy do Skwira i stanęliśmy pod typowym zajazdem, oczywiście żydowskim, bo innego nie było. Tego rodzaju zajazd był bardzo charakterystycznym budynkiem, jakie znajdowano we wszystkich małych miasteczkach Ukrainy i Podola. Zajechawszy furman wołał donośnym głosem, by otwierano wrota i po chwili odezwały się głosy i zaczynało się odsuwanie od wewnątrz znajdującej się zasuw, a tymczasem zgraja zaciekawionych Żydziaków otoczyła pojazd, nawołując się po żydowsku, a czasem po rusińsku: Pany prychały! A starsze Żydy wypytywały furmanów: A z widki wy? Furman objaśniał lub pogardliwie milczał, robiąc ważną minę. Wrota znajdowały się w środku budynku, dzieląc go od frontu na dwie części. Na lewo w izbie z piecem mieszkała rodzina żydowska, na prawo dwie izby dla gości. Powóz czy bryczka stały w szerokim wjeździe między izbami, a gdy wszyscy wysiedli, furman ruszał dalej do stajni, która znajdowała się bezpośrednio pod tym samym dachem. Tam stały żłoby po obu stronach i stawiano konie; dalej podwórze bez ducha, toteż, gdy było słotno, topiono się w błocie, w którym tarzały się świnię i gdakał drób. Tymczasem służba rozkładała łóżka i zaścilała je przywieziona pościelą. Lokaj kazał Ży-

dziakowi „myszurysowi” (chłopak do wszystkiego) nastawić samowar, sam zaś nakrywał stół, stawiał talerze, sztucce, przywiezione zapasy. Zasiadano do kolacji i potem wszystko się do snu kładło. Do przewożenia pościeli, poduszek i kołder były specjalne jakby duże skórzane koperty, wysokości 80 centymetrów, z czterema rozchylającymi się rogami, a gdy wszystko było już ułożone, te cztery rogi łączyły się łańcuchem, zamykanym na kłódkę. Taki toból był miękki, bardzo pakowny, ale ciężki. Jeżeli jechało się karetą, to do jej dachu dopasowana była waliza, która miała dokładny wymiar dachu, wysokości mniej więcej 40 centymetrów, którą przywiązywano rzemieniami. W takich walizach mieściły się na płask ułożone ówczesne długie, szerokie, falbaniaste suknie i bez zgniecenia dojeżdżały do celu. Takie walizy nazywały się „wasze”. Wcześniej rano budziły nas odgłosy z podwórza i krzątania furmanów, lokaj kręcił się koło śniadania, potem składano pościel, pakowano i dalej w drogę. Jechało się przez Śnieżne (Zaleskich), Nowochwastów (Montresorów) do Dziunkowa. Tam domostwo było stare, parterowe, widocznie według potrzeby dobudowywane. Właściwego ogrodu nie było. Córki cioci, Antonia (Tosia) i Hela, były w naszym wieku, a ciocia, dobroci niesłychanej, adoptowała jeszcze sierotę Florcię. Synowie cioci byli wówczas wszyscy w szkołach w Warszawie, później w Rydze. Widok z domu rozległy na ogromną ukraińską wieś, rozłożoną na wzgórzach, wśród sadów i warzywników. Nad dużym stawem stała cukrownia akcyjna, w której mój ojciec i Krackiewicz mieli większość udziałów. Dyrektorem był Cezary Moczyński, żonaty z siostrzenicą naszego ojca, z domu Morgulówną. Miała na imię Lola, była o wiele starsza od nas, choć wypadła nam cioteczną siostrą, musiałyśmy nazywać ją ciocią. Zabawiwszy u cioci Felini parę tygodni, ruszyliśmy do Turbowa, gdzie oczekiwał nas tatuś po kompletnym urządzeniu domu. Również, jak zawsze mieszkał z nami dziadunio Fudakowski ze swą lektorką i nieodłącznym Kalenikiem.